Jaga patrzy

Nie przeszkodził jej w tym fakt, że to dyplom studentów aktorstwa, kręcony za 100 tys. zł. Stworzyła kompletną wizję, która angażuje emocje widza, wymaga od niego uwagi i zmusza do wejścia w „zaklęty" krąg refleksji Jagody Szelc nad światem. „Monument" to nie jest kino rozrywki. To opowieść z pogranicza jawy i snu, tego i tamtego świata, która – niczym katharsis – może być oczyszczeniem. Opowieść o przekraczaniu granicy – o śmierci, a przez to także o życiu.

„Monument" przedstawia historię studentów hotelarstwa, którzy jadą na praktyki do hotelu na prowincji. Tam trafiają pod „opiekę" menedżerki i dowiadują się, że nie są już studentami. Podobnie grający te postacie młodzi aktorzy kończą szkołę i stają się artystami. Reżyserka i autorka scenariusza znalazła więc odpowiednią formułę, aby wszyscy z 20-osobowej grupy dyplomantów mogli się zaprezentować na ekranie w dość równorzędnych rolach. Filmowa menedżerka wprowadza ostry reżim i przydziela podopiecznym (jednocześnie tracą swoje imiona i stają się: chłopcy Pawłami, a dziewczyny Aniami) prace przy obsłudze klientów – w pokojach, w kuchni, w pralni, w spa, przy śmieciach i czyszczeniu betonowego postumentu w lasku przed hotelem. Chrzest bojowy przechodzą już pierwszego wieczoru, kelnerując podczas wesela. Sama impreza również odwołuje się do rytuału przejścia – pan młody żegna się z przyjaciółmi („dla was umarłem") słowami wiersza Jesienina.

Ta graniczność, dwoistość, współistnienie kresu i nowego początku to cechy świata konstruowanego przez Jagodę Szelc. Bohaterowie tracą kontakt ze światem zewnętrznym. Ich telefony rejestrują tylko komunikaty w poczcie głosowej albo odtwarzają nagrane powitania. Hotel, w którym pracują i mieszkają, jest niczym symbol pionowo zorientowanego społeczeństwa, a miejsca, w których toczy się akcja, to jakby różne sfery życia. Wnętrza – sale, pokoje, pomieszczenia gospodarcze, ciągi korytarzy – tworzą żywy organizm spowity aurą dziwności, przypominającą nieco serial „Królestwo" Larsa von Triera. Hotelową windą można z parteru pojechać trzy piętra do góry lub trzynaście poziomów w dół.

Z charakterem rzeczywistości, w której działają bohaterowie, koresponduje sposób opowiadania. Istnieje ciąg przyczynowo-skutkowy łączący poszczególne sceny, logicznie rozwijająca się akcja, ale nie wszystkie obrazy da się racjonalnie uzasadnić. W „normalne" sceny autorka wmontowuje migawki – metafory, znaki, nośniki emocji (jak u Eisensteina), które potęgują niepokój, dramatyzm sytuacji lub nabudowują dodatkowe znaczenia. Tu wiele elementów w kadrze znaczy, są niczym tropy pozostawione przez reżyserkę. Odwołują się do różnych spraw, ale każdy widz może je tłumaczyć po swojemu i za każdym razem, kiedy ogląda, odkrywać nowe, bo film Jagody Szelc jest jak pudełko z niespodziankami. Ktoś odkryje sens rzeźby przedstawiającej łeb konia albo dostrzeże w windzie przyciski do -13, albo ząb, który został ze stosu pogrzebowego Buddy.

Jagoda Szelc korzysta w „Monumencie" z gatunkowej formuły horroru, budując atmosferę niepokoju, napięcia, oczekiwania na coś groźnego. „Czuć" to także w obrazie – większość scen rozgrywa się przy sztucznym świetle, stąd zdjęcia Przemysława Brynkiewicza są czasem nieco zażółcone, czasem niedoświetlone, czy nawet „brudne", „ziemiste". Zbliżenia ciał postaci, detali otoczenia podkreślają niedoskonałości, kamera przemierza podziemne korytarze, eksponuje łuszczące się ściany, pordzewiałe metalowe wrota, demaskując postępujący rozpad, tchnienie innego wymiaru. Środki wizualne uzupełnia dźwięk – od ryku przypominającego tybetańskie trąby (otwiera film) po ciągłe buczenie niczym odgłos pobliskiej autostrady lub pracującego w podziemiach agregatu. Znaczące są również muzyczne cytaty – disco polo podczas wesela czy buntowniczy rap słuchany i odśpiewywany w tropiku pralni.

Na wszystko ma oko menedżerka – kontroluje i ocenia, rozdziela kary. Każdy praktykant musi przejść egzamin. Dlatego w filmie jak refren powraca wyliczanka: „Raz, dwa, trzy – baba jaga patrzy!" W zabawie, którą pamiętam z dzieciństwa, trzeba było znieruchomieć, kto się poruszył, odpadał. W filmie bohaterowie nawzajem się ostrzegają, że są obserwowani, ale zwracają się też do widza. Jednocześnie to może być głos samej autorki, która przygląda się światu. Patrzy i pokazuje nam, co dostrzegła, co nie daje jej spokoju. Czasem nawet jakby odzywała się z offu, tłumacząc swoje decyzje („Czemu to ściszasz?" „Jeszcze nie są gotowi na tę pieśń. Jeszcze nie teraz").

Tę opowieść o świecie według Jagody Szelc niosą obrazy, sceny i dialogi, ale i treść komunikatów w poczcie głosowej. Pojawia się tu figura ojca, który obecny jest jako negatywny bohater w rozmowach dziewczyn sprzątających pokoje („jak się urodziłam, to [stary] miał mnie w dupie"), także jako skrępowany mężczyzna leżący u nich w łazience na podłodze. Z ich historii „Kiedy pierwszy raz dostałam okres" wynika, jak kobiety napiętnowane są krwią menstruacyjną. Innym razem pokojowe odgrywają pantomimę obrazującą mechaniczność zachowań seksualnych. Chłopak (określa swój stan: na granicy utraty przytomności) i dziewczyna, pracujący przy śmietniku, znajdują prawosławny krzyż i święty obrazek, które zostały wyrzucone. Do menedżerki przychodzi dziewczyna, proponując, że będzie informować o niewłaściwych zachowaniach reszty grupy. Pracownicy kuchni kłócą się, kto ma wykonać „obróbkę" mięsa (ktoś zawsze chce rządzić). Potem w wilgotnej ziemi na zewnątrz grzebią kawałki mięsa, by nie robić cmentarza na talerzu. Chłopak z pralni opowiada, jak oszukał klienta, któremu naprawiał samochód. Dziewczyna w spa usiłuje prowadzić dialog z klientką, monstrualnie grubą starszą kobietą podtrzymywaną przez specjalny dźwig. Chce złapać kontakt: „Bałaby się pani? Straszne, co?" – kończy jedną z opowieści. Zamiast odpowiedzi dobiegają ledwo słyszalne stęknięcia. Z poczty głosowej dociera do nas, że ktoś znajomy zamieścił w Internecie zdjęcie koleżanki, które stało się obiektem drwin i szyderstw. Ktoś inny dowiedział się właśnie, że jest adoptowany, jeszcze inny nie obiera, bo „chleje". Chora na cukrzycę dziewczyna, ulegając presji matki, zgadza się jechać z nią na wakacje, a nie tak jak chciała wcześniej – z koleżankami.

Większość tych sytuacji została przekonująco (czasem przejmująco) zagrana. Z pewnością pomogło to, że aktorzy tworzyli postacie sobie bliskie – swoich rówieśników (dobry pomysł autorki scenariusza). Łatwiej wtedy znaleźć odpowiednie emocje, poszukać ich w doświadczeniu. Przekaz stał się dzięki temu wiarygodny, a widz może wejść w świat kreowany przez młodych artystów przed kamerą. Niewiele jest momentów, w których przeszkadzałaby szkolna maniera. Najczęściej role imponują naturalnością, dojrzałością i opanowaniem. Trudno wymienić nazwiska – w napisach końcowych nie przypisano ich konkretnym postaciom, a większości nie kojarzymy jeszcze z twarzami. Jestem jednak pewien, że to się zmieni.

Emocje opowiadania z czasem się zagęszczają. Tempo przyspiesza. Zachowania bohaterów stają się coraz dziwniejsze. Zagłębiamy się wraz z nimi w czeluść podziemnego labiryntu. Zbliża się przesilenie, jak śmierć, która jest nadzieją, a nie kresem.

Odnosząc się do tytułu, powiedzmy, że monumentu w filmie nie ma. Postument tkwiący w błocie jest pusty. Praktykanci mieli wyczyścić go, ale to zadanie okazało się niewykonalne. Co miałoby się na nim znaleźć? Czyją pamięć uczcić lub jakie wartości? Na jakich podstawach miałoby się oprzeć? W końcu postument owinięto folią, która skryła wszelkie niedoskonałości.

Bogdan Sobieszek

Foto: Przemysław Brynkiewicz